

KIM HARRISON

**MADISON AVERY
I ŻNIWIARZ CIEMNOŚCI**

Brytyjski generał, damulka w potrzebie i pirat wchodzą do sali gimnastycznej, pomyślałam, obserwując ciała podrygujące w ogłupiającym chaosie powstrzymanej nastoletniej żądz. Nie ma to jak Liceum Covington. Szkolny bal zamienił się w farsę. Przy okazji dzisiaj są moje siedemnaste urodziny. Co ja tu robię? Na takiej zabawie powinny być prawdziwe sukienki i zespół na żywo, a nie wypożyczone kostiumy i muza z puszki. A moje urodziny powinny być... Jakiegokolwiek, byle nie takie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zatańczyć? - wrzasnął mi do ucha Jose. Otoczył mnie zapach słodkawego oddechu. Staralam się nie skrzywić. Wbiłam wzrok w zegar obok tablicy wyników, zastanawiając się, czy godzina wystarczy, żeby się stąd wynieść i nie narazić na przesłuchanie taty. Muzyka była straszna - wciąż to samo rytmiczne dudnienie, w kółko i w kółko, i w kółko. Nic nowe czterdziestu minut. A basy były o wiele za głośne.

- Tak - powiedziałam. Odsunęłam się rytmicznymi kroczkami, kiedy jego ręka spróbowała się zakraść na moją talię. - Ciągle nie chcę tańczyć.

- To może coś do picia? - spróbował jeszcze raz. Odchyliłam biodro w bok i skrzyżowałam ręce na piersi, żeby zakryć dekolt. Wciąż jeszcze czekałam na wizytę cystackiej wróżki, ale gorset sukienki wypchnął wszystko do góry i ścisnął, przez co wyglądało, jakbym miała tam coś więcej, niż faktycznie było, więc czułam się skrepowana.

- Nie, dziękuję - odparłam z westchnieniem. Pewnie mnie nie usłyszał, ale załapał, o co chodzi, bo odwrócił wzrok i zaczął obserwować tańczących. Długie balowe suknie i kuse wdzianka barowych dziewczek mieszały się z kostiumami zawiadackich piratów i żeglarzy. Taki był motyw przewodni balu. Piraci. Boże! W mojej starej szkole przez dwa miesiące pracowałam w Komitecie Organizacyjnym. Bal miał być fantastyczny - na barce w świetle księżycy, z prawdziwym zespołem - ale nieeee. Mama stwierdziła, że tata musi spędzić ze mną trochę czasu. Że przechodzi kryzys wieku średniego i musi przypomnieć sobie przeszłość. Moim zdaniem po prostu się wystraszyła, kiedy przyłapała mnie, jak wymknęłam się nocą na cappuccino. Odesłała mnie z powrotem do ojca w Nudziakowie. Wiedziała, że jego bardziej się słucham. Okej, było już po północy. I być może nie chodziło tylko o kofeinę. No i byłam uziemiona za zbyt późny powrót w poprzedni weekend, ale właśnie dlatego się wymknęłam.

Szarpałam palcami sztywną koronkę mojej kolonialnej sukni i zastanawiałam się, czy ktoś tutaj w ogóle wie, jak wygląda prawdziwa impreza. Ale może mieli to gdzieś. Josh stał

pół kroku przede mną, kiwając głową w takt muzyki, najwyraźniej miał ochotę zatańczyć. Niedaleko, przy stole z jedzeniem, siedział jakiś gość, który ciągle za nami łąził. Patrzył w moją stronę, więc zmroziłam go wzrokiem, zastanawiając się, czy chodzi mu o mnie, czy o Josha. Kiedy wyczuł moje zainteresowanie, odwrócił się. Znowu spojrzałam na Josha, który przebył już, tańcząc połowę drogi między mną a tłumem. Kiedy tak kołysał i rytmicznie kiwał głową, nie wydawał się już w tym kostiumie tak przeraźliwie chudy i wysoki. Był ubrany w tradycyjny czerwono - biały mundur brytyjskiego generała, z rapierem i epoletami. Zapewne to pomysł jego ojca, VIP - a wśród VIP - ów w ośrodku badawczym, w którym okoliczni mieszkańcy znaleźli zatrudnienie, kiedy bazę wojskową przeniesiono do Arizony. Tak czy inaczej, pasował do falbaniastej sukni z gorsetem, którą miałam na sobie.

- No chodź. Wszyscy tańczą - zaczął mnie namawiać, kiedy zobaczył, że na niego patrzę, ale pokręciłam głową. Niemal go żalowałam. Przypominał mi chłopaków z kółka fotograficznego, którzy udawali, że drzwi do ciemni się zacięły i próbowali się do mnie przystawiać. To było zwyczajnie nie fair. Przez trzy lata pracowałam na to, żeby się wkręcić do towarzystwa fajnych lasek, a teraz znowu zaczynałam od nowa z miłymi, ale niepopularnymi chłopakami. A do tego podpierałam ścianę w sali gimnastycznej! I to w moje urodziny.

- Nie - odparłam głucho. Przekład: Sory nie jestem zainteresowana. Możesz sobie dać spokój, Nawet niezbyt lotny, niezgrabny okularnik Josh wreszcie załapał i zaprzestał podchodów.

- Jezu, ale z ciebie sucz, wiesz? Zaprosiłem Cię tylko dlatego, że ojciec mi kazał, Jeśli zapragniesz towarzystwa, jestem tam.

Przytknęło mnie, gapiłam się na niego, jakby walnął mnie pięścią w żołądek. A on uniósł brew i poszedł sobie, z rękami w kieszeniach i z wojowniczo wysuniętym podbródkiem. Dwie dziewczyny rozstały się by go przepuścić. Po chwili nachyliły się do siebie i zaczęły plotkować, zerkając na mnie.

O mój Boże. Randka z litości. Mrugając szybko, wstrzymałam oddech, bo wzrok mi się jakoś dziwnie zamazał. po diabła, nie dość, że byłam nowa w szkole to jeszcze zostałam zaproszona na bal z litości! Mój tata podlizzał się szefowi, a ten kazał synowi na nie zaprosić.

- Jasna chochla - szepnęłam, zastanawiając się, czy rzeczywiście wszyscy się na mnie gapią, czy tylko mi się wydaje. Założyłam krótkie jasne pasemko włosów za ucho i cofnęłam się pod ścianę. Oparta o nią z założonymi rękami, udawałam, że za chwile Josh przyniesie mi coś do picia. Ale w środku umierałam.. Zostałam porzucona. Nie, zostałam porzucona przez kujona.

- Brawo, Madison - mruknełam kwaśno, wyobrażając sobie plotki w poniedziałek. Zauważyłam Josha przy stole z jedzeniem: udawał, że mnie ignoruje. Starał się jednak nie robić tego zbyt ostentacyjnie. Gość w kostiumie marynarza - ten, który za nami łąził, mówił coś do niego. Nie wyglądał na jego kumpla, chociaż szarpał go za łokieć. Wskazywał na dziewczyny w sukienkach stanowczo zbyt głęboko wyciętych jak na akrobacje, które wyczyniały. Ale to, że go nie kojarzyłam, nie było znowu takie dziwne. W końcu wszystkich w tej budzie unikałam. Bo zwyczajnie nie byłam tu szczęśliwa i nie zamierzałam tego ukrywać.

Ani sportsmenka, ani kujonka - chociaż w domu należałam do kółka fotograficznego. Mimo wysiłków nie udało mi się dopasować do lalek Barbie. Nie byłam też gotykiem, mózgowcem, ćpunem. Nie należałam do tych dzieciaków, które bawiły się w naukowców, jak ich mamusie i tatusiowie w ośrodku badawczym. Nie pasowałam do żadnej grupy. *Poprawka*, pomyślałam, widząc, jak Josh i marynarz się śmieją. *Pasuję do suk*. Tamten chłopak i Josh zwrócili uwagę na inną grupkę dziewczyn, które chichotały. Kręcone kasztanowe włosy wystawały spod marynarskiej czapeczki, a biały kostium upodobił go do reszty chłopaków, przebranych za marynarzy. Był wysoki, a jego ruchy były pełne gracji. Wyglądał na starszego ode mnie, ale nie za bardzo - ostatecznie to był szkolny bal. *Nie muszę tu być*, pomyślałam nagle, odpychając się łokciami od ściany. Josh miał mnie odwieźć do domu, ale wiedziałam, że tata mnie odbierze, jeśli zadzwonię. Ruszyłam w stronę dwuskrzydłowych drzwi, klucząc w tłumie, ale nagle zwołniałam zaniepokojona. Tata zapytał, dlaczego Josh nie odwiózł mnie do domu. Wszystko się wyda. Wykład, że mam być miła i dopasować się do otoczenia jakoś bym zniosła, ale ten wstyd... Josh patrzył na mnie, kiedy zerknęłam w jego stronę. Jego towarzysz próbował ściągnąć jego uwagę, ale Josh wpatrywał się drwiąco we mnie.

Przełaza się czara goryczy. *Nie zadzwonię do ojca. I na pewno nie wsiądę z Joshem do samochodu. Pójdę pieszo. Całe osiem kilometrów. Na obcasach. W długiej bawełnianej sukience. W wilgotny kwietniowy wieczór. Ze ściśniętymi cyckami. Co straszniejszego może mi się przydarzyć? Bliskie spotkanie trzeciego stopnia ze zbiegłą krową?* Cholera, tęskniłam za moim samochodem.

- Tak trzymaj, dziewczyno - mruknełam. Zgarnełam sukienkę. Ruszyłam ze spuszczoną głową, potracając ramionami tańczących. Wynoszę się stąd. Ludzie będą gadać, ale mam to gdzieś. Nie potrzebuję przyjaciół. Są przereklamowani.

Muzyka zmieniła się, puścili coś szybkiego; uniosłam głowę, kiedy tłum zafalował, niezręcznie zmieniając rytm. Zatrzymałam się jak wryta, kiedy zdałam sobie sprawę, że zaraz na kogoś wpadnę.

- Sorki! - krzyknęłam i nagle zamarłam. *Do diabła, pan Seksowny Kapitan Pirat. Gdzie się chował przez ostatnie trzy tygodnie i czy tam, skąd pochodzi, jest ich więcej?*

Nie widziałam go nigdy wcześniej. Przez cały ten czas, kiedy tkwiłam w tym miasteczku. Pamiętałabym. I może trochę bardziej bym się wysiliła. Czerwieniąc się, puściłam sukienkę, by móc unieść rękę i zasłonić dekol. Boże. w tym staniku push - up czułam się jak angielska dziwka. Facet był ubrany w obcisły, czarny piracki kostium, na jego piersi błyszczał wisiołek z szarym kamieniem. Widziałam go pod rozpiętą koszulą. Maską w stylu Zorro zakrywała górną część twarzy. Jej szerokie jedwabne paski spływały mu na plecy razem z błyszczącymi puklami czarnych włosów. Był jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie. Po jego zgrabnej sylwetce ślizgały się wirujące dyskotekowe światła. A ja nie przestawałam się zastanawiać, gdzie do tej pory był.

Na pewno nie należał do orkiestry dętej ani nie chodził na lekcje wychowania obywatelskiego pani Fairel, pomyślałam.

- Ogromnie przepraszam - powiedział, biorąc mnie za rękę; zaparło mi dech, nie dlatego, że mnie dotknął, ale dlatego, że nie miał akcentu ze Środkowego Zachodu. Jego słowa brzmiały jak delikatne westchnienie, a ich staranny dobór świadczył o dobrym guście i wyrafinowaniu. Dźwięczał niczym kryształ i cichy śmiech - były jak kojący szum morskich fal, który tak często kołysał mnie do snu.

- Nie jesteś stąd. - Pochyliłam się w jego stronę, by lepiej słyszeć. Uśmiechnął się szerzej. Śniada skóra i czarne włosy były mi tak bliskie, tak znajome pośród białych twarzy i jasnych włosów, typowych dla tego więzienia, w którym się znalazłam.

- Jestem tu tymczasowo - powiedział. - Na szkolnej wymianie, można powiedzieć. Tak samo jak ty. - Spojrzał z pogardą na ludzi poruszających się wokół nas z mizernym poczuciem rytmu i jeszcze mniejszą oryginalnością. - Za dużo tu krów, nie sądzisz? Wybuchnęłam śmiechem, modląc się, by nie wyjść na bezmózgą lalę.

- Tak - zmusiłam go, żeby się pochylił, szepcząc mu do ucha. - Nie jestem na wymianie. Przeprowadziłam się z Florydy. Moja mama tam mieszka, na wybrzeżu. Teraz wylądowałam u ojca. I zgadzam się. Masz rację, tu jest okropnie. Ale ty przynajmniej wrócisz kiedyś do domu.

Gdzie jest twój dom, panie Seksowny Piracie?

Poczułam od niego znajomy zapach - jakby plaży po odpływie, wody z kanału portowego – to było jak wspomnienie. I choć dla niektórych te zapachy są nieprzyjemne, ja poczułam łzy pod powiekami. Za swoją starą szkołą. Tęskniłam za swoim samochodem. Tęskniłam za przyjaciółmi. Dlaczego mama aż tak się wściekła?

- Do domu. - Uśmiechnął się upajająco. Wysunął koniuszek języka, żeby zwilżyć usta. Wyprostował się. - Zejdźmy z parkietu. Przeszkadzamy im w... tańcu.

Moje serce zabiło mocniej. Nie miałam ochoty się stąd ruszać. Nie chciałam, by odszedł. Żeby ktoś go porwał.

- Zatańczysz? - zapytałam nerwowo. - Nie jestem przyzwyczajona do takiej muzy, ale ma niezły beat.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a moje serce zabiło szybciej. O Boże, chyba mu się podobam. Przytaknął, puszczając moją rękę. odsunął się o krok i zaczął się ruszać. Przez chwilę zapomniałam, że powinnam zrobić to samo, i tylko patrzyłam. Nie przesadzał z ekspresją. Nie, raczej wręcz przeciwnie - jego powolne ruchy robiły o wiele większe wrażenie, niż gdyby porywał mnie w szalone obroty. Widząc, że się przyglądam, uśmiechnął się zza swojej tajemniczej maski, spod której wзираły szaroniebieskie oczy, i wyciągnął rękę, zapraszając, żebym się przyłączyła. Wzięłam oddech, wsunęłam palce w jego ciepłą dłoń i pozwoliłam się poprowadzić.

Muzyka była ramą, w której obrębie się poruszał, a ja zagubiłam się zupełnie, próbując się dopasować do jego kroków. Kołysaliśmy się powoli. Rozluźniłam się i po prostu tańczyłam; było mi łatwiej, kiedy o tym nie myślałam. Czułam każde poruszenie bioder i ramion - i zaczęło we mnie narastać podniecenie.

Wszyscy dookoła wykonywali ostre, szarpiące ruchy, ale my poruszaliśmy się niespiesznie; odległość między nami się zmniejszała. Nasze spojrzenia spotykały się coraz częściej i częściej. Dałam się porwać rytmowi muzyki, moje serce biło wraz z jej rytmem.

- Nazywam się Seth - powiedział i niemal popsuł tę chwilę. Nagle jego ręka objęła mnie w pasie. Oparłam się o niego. O tak. Teraz było o wiele lepiej.

- Madison - odparłam; to było całkiem przyjemne tańczyć wolniej niż inni. Ale muzyka była szybka, uderzenia basów pobudziły krew w moich żyłach. Te dwie skrajności sprawiały, że nasz taniec wydawał się jeszcze bardziej śmiały. - Nie widziałam cię w szkole. Jesteś w ostatniej klasie?

Palce Seta zeszytniały na cienkiej bawełnie sukienki, a może po prostu przyciągał mnie jeszcze bliżej.

- Jestem najlepszy w swojej klasie - pochwalił się, pochylając się do mnie, żeby nie musieć krzyczeć.

Kolorowe światła spływały po jego postaci. Kręciło się mi w głowie. Josh mógł się wypchać. Właśnie tak powinien wyglądać mój szkolny bal.

- No to wszystko jasne - mruknełam, odchylając głowę do tyłu, by spojrzeć mu w

twarz. Wciąż próbowałam go umiejscowić. - Ja jestem w drugiej.

Uśmiechnął się, a ja poczułam się mała i bezpieczna w jego ramionach. Zdałam sobie sprawę, że ludzie się na nas gapią i zwalniają. Miałam nadzieję, że Josh też patrzy. Sucz, co? Ja ci dam sucz.

Wysunęłam podbródek i odważyłam się przyciągnąć Setha jeszcze bliżej; nasze ciała dotykały się i znów rozdzielały. Serce biło mi gwałtownie i chciałam zranić Josha. Chciałam, żeby jutro to o nim wszyscy plotkowali, jakim był idiotą, że mnie zostawił. Chciałam... Dłonie Setha spoczęły lekko na mojej talii; pozwalał mi tańczyć, więc dałam się ponieść. Moje ruchy były zmysłowe; tubylcy w życiu nie widzieli czegoś takiego, chyba że w telewizji. Moje wargi drgnęły w uśmiechu, kiedy zobaczyłam Josha i tego marynarza. Jego twarz była biała z wściekłości, a mnie ogarnęła złośliwa satysfakcja.

- Chcesz zrobić mu na złość? - zapytał smutno Seth. Spojrzałam w jego oczy. - Zranił cię. - Jego śniada dłoń dotknęła mojego podbródka. Poczułam mrowienie na skórze. - Pokaż mu, co stracił. Kiwnęłam głową.

Seth zatrzymał się z gracją i pociągnął mnie do siebie płynnym gestem. Zamierzał mnie pocałować. Czułam to w każdym jego ruchu. Z łomoczącym sercem uniosłam twarz na spotkanie jego warg, czując, jak miękną mi kolana. Wszystko zwolniło. Zamknęłam oczy i zaczęłam się kołysać. Całowałam go.

Ogarnęła mnie fala żaru, przenikała moje ciało. Objęcia Setha stawały się coraz ciaśniejsze. Nikt nigdy nie całował mnie w taki sposób. Bałam się odetchnąć, przerażona, że wszystko zepsuję. Trzymałam go w pasie, a on obejmował mnie mocno, jakbym miała upaść. Smakował drzewnym dymem. Miałam ochotę na więcej, ale - rany - nie byłam taka głupia. Z gardła Setha wydobył się niski pomruk. Jego dłonie zacisnęły się mocniej, a ja poczułam przyływ adrenaliny. Pocałunek się zmienił.

Wystraszona oderwałam się od niego, bez tchu, ale oszołomiona. Seth patrzył na mnie z lekkim rozbawieniem, że się wycofałam.

- To tylko gra - uspokoił mnie. - Już wiesz, że nie jest wart, żeby przez niego cierpieć.

Zamrugałam. Światła wirowały dziko. Muzyka grała dalej, głośna i nietknięta naszym pocałunkiem. Wszystko było inne, ale to tylko ja się zmieniłam. Z trudem oderwałam wzrok od Setha, wciąż trzymając go w pasie, żeby nie stracić równowagi. Josh miał na policzkach czerwone plamy i wyglądał na wściekłego. Posłałam mu spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Chodźmy. - Wzięłam Setha pod rękę. Nie sądziłam, żeby ktokolwiek jeszcze chciał się ze mnie wyśmiewać. Nie po tym pocałunku.

Pewna siebie ruszyłam naprzód z Sethem u boku. Ludzie rozstępowali się przed nami i

poczułam się jak królowa. Choć muzyka grała w najlepsze, wszyscy patrzyli na nas, gdy szliśmy w stronę dwuskrzydłowych drzwi oklejonych papierem i pomalowanych tak, by wyglądały jak dębowe wrota zamku.

Plebejusze, pomyślałam, kiedy Seth otworzył przede mną drzwi. Poczułam chłodniejsze powietrze na korytarzu. Drzwi zamknęły się za nami, muzyka przycichła. Zwolniłam i zatrzymałam się, stukając obcasami po płytkach. Pod ścianą stał stół nakryty papierowym obrusem; siedziała przy nim zmęczona kobieta sprawdzająca wejściówki. Dalej, przy głównym wejściu, sterczało trzech chłopaków. Wspomnienie naszego pocałunku nagle mnie zaniepokoiło. *Ten facet jest boski. Dlaczego jest ze mną?* - pomyślałam.

- Dziękuję - wymamrotałam, odwracając wzrok. Nagle zaczerwieniłam się, przecież mógł sobie pomyśleć, że dziękuję za pocałunek. - To znaczy, dziękuję, że wyszłam stamtąd z twarzą - dodałam, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Widziałem, co zrobił. - Seth pociągnął mnie korytarzem w stronę drzwi prowadzących na parking, z daleka od wszystkich. - Miałaś do wyboru to albo oblać go ponczem. Ale... - Zawiesił głos, dopóki nie spojrzałam na niego. - ...to nie w twoim stylu. Wolisz bardziej subtelną zemstę. Uśmiechnęłam się rozanielona, ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Naprawdę tak myślisz? Kiwnął głową. Zachowywał się, jakby był o wiele starszy, niż wskazywał jego wygląd.

- Kto cię odwiezie do domu?

Zatrzymałam się jak wryta, a on zrobił jeszcze krok i odwrócił się, spoglądając na mnie zaniepokojonym wzrokiem. W korytarzu było chłodno, więc uznałam, że to stąd ten nagły dreszcz.

- Przepraszam - powiedział, mrugając. Nie zrobił ruchu w moją stronę. - Nie chciałem... Zostanę z tobą, dopóki ktoś po ciebie nie przyjedzie. Przecież mnie w ogóle nie znasz.

- Nie, nie chodzi o to - rzuciłam pospiesznie zawstydzona tym swoim brakiem zaufania. Obejrzałam się na kobietę siedzącą przy drzwiach do sali gimnastycznej. Obserwowała nas bez zainteresowania. - Powinnam tylko zadzwonić do taty. Powiedzieć mu, z kim wracam. Seth uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

- Oczywiście.

Zaczęłam grzebać w torebce, którą dostałam razem z sukienką. Seth odsunął się parę kroków, kiedy wyjęłam telefon i nerwowo wybrałam domowy numer. Tata nie odebrał. Oboje odwróciliśmy głowy, słysząc otwierające się drzwi od sali gimnastycznej. Gdy zobaczyłam

Josh, zacisnęłam zęby. Zgłosiła się sekretarka automatyczna, więc powiedziałam pośpiesznie:

- Cześć, tato. Tu Madison. - A niby kto. - Jadę do domu z Sethem... - Spojrzałam na niego, pytając wzrokiem o nazwisko.

- Adamsonem - odparł cicho, nie odrywając od Josha oczu. *Rany, ależ miał śliczne oczy. I długie, gęste rzęsy.*

- Z Sethem Adamsonem - dokończyłam. - Josh okazał się palantem. Będę w domu za parę minut, okej? - Ale tata niewiele miał do powiedzenia, skoro tak naprawdę wcale go tam nie było. Oczekałam chwilę, jakbym słuchała odpowiedzi, i dodałam:

- Tak, wszystko w porządku. Po prostu jest palantem i tyle. Do zobaczenia. Zadowolona zamknęłam telefon i schowałam go. Gdy wzięłam Seta pod rękę i ruszyłam z nim do tylnych drzwi, Josh dogonił nas.

- Madison... - Był zły.

- Cześć, Josh! - rzuciłam wesoło, choć byłam spięta, kiedy zrównał ze mną krok. Nie patrzyłam na niego, bo czułam, że znów się czerwienię. - Mam już transport do domu. Dzięki.

- Za nic, dodałam w duchu, wciąż wściekła na niego. A może na tatę, że mnie tak urządził.

- Madison, zaczekaj.

Chwytał mnie za łokieć, więc odwróciłam się do niego i stanęłam. Josh odsunął się i mnie puścił.

- Jesteś palantem - powiedziałam, obrzucając wzrokiem jego kostium, który teraz wydawał mi się żaloszny. - I nikt nie będzie się ze mną umawiał z litości. Możesz już iść - złagodziłam na poczekaniu swoje słowa, nie chcąc, by Seth pomyślał, że klnę jak szewc. Josh złapał mnie za nadgarstek i pociągnął do siebie.

- Posłuchaj. - Lęk w jego oczach powstrzymał protest. - Nigdy wcześniej nie widziałem tego gościa. Nie bądź głupia. Zawiozę cię do domu. Możesz mówić znajomym, co chcesz. Nie mam nic przeciwko temu.

Spróbowałam sapnąć z urazą, ale gorset nie pozwolił mi nabrać dość powietrza, więc tylko wysunęłam podbródek. Wiedział, że nie mam żadnych znajomych.

- Zadzwoiłam do taty. Nic mi nie będzie - rzuciłam, zerkając przez jego ramię na tego wysokiego chłopaka w kostiumie marynarza, który oczywiście wyszedł za Joshem z sali. Ale Josh nie puszczał. Zirytowana wykręciłam rękę, a kiedy sięgnęłam, by złapać go za nadgarstek chwytem samoobrony, puścił, jakby mnie wyczuł. Zrobił krok w tył.

- W takim razie pojedę za wami - zdecydował, zerkając na Seta.

- Jak chcesz - odparłam i odgarnęłam włosy. Może ten Josh nie jest taki zły? - Seth,

stoisz na parkingu?

Seth podszedł do mnie. Obok pospolitego Josha wydawał się wcieleniem gracji i wyrafinowania.

- Tędy, Madison. - Wydało mi się, że dostrzegłam błysk triumfu w jego oczach, kiedy brat mnie pod rękę. I nic dziwnego. Najwyraźniej przyszedł na bal sam, a teraz to Josh wychodził solo.

Z rozmysłem stukając obcasami, by podkreślić swoją kobiecość, ruszyłam z Sethem w stronę drzwi. W tej strojnej sukience czułam się elegancka, a Seth wyglądał fantastycznie. Josh i jego milczący kolega wlekli się za nami jak statyści w hollywoodzkim filmie. Seth przytrzymał mi wahadłowe drzwi, zostawiając tamtych dwóch, by radzili sobie z nimi sami. Powietrze było chłodne i pożałowałam, że nie wyciągnęłam od taty dodatkowej pięćdziesiątki, żeby kupić sobie szal pasujący do sukienki. Byłam ciekawa, czy Seth zaproponowałby mi swoją marynarkę, gdybym się poskarżyła, że mi zimno. Księżyc skrył się za chmurami. Gdy szliśmy po schodach, słyszałam za sobą Josha mówiącego coś po cichu do kumpla szyderczym tonem. Zacisnęłam zęby i poszłam za Sethem do czarnego samochodu zaparkowanego niezgodnie z przepisami przy krawężniku. Był to kabriolet, z otwartym dachem; nic nie mogłam poradzić na to, że uśmiechnęłam się szerzej. Może moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę, zanim odwiezie mnie do domu. Co tam zimno - chciałam, żeby wszyscy zobaczyli mnie w tym samochodzie, obok Setha, z rozwianymi włosami i muzyką na maksa. Założę się, że słucha świetnej muzy.

- Madison... - powiedział Seth zapraszająco, otwierając przede mną drzwiczki. Byłam zażenowana, ale jednocześnie czułam się wyróżniona, gdy usadawiałam się w niskim fotelu. Seth poczekał, aż ułożyłam sukienkę, i delikatnie zamknął drzwi. Zapięłam pas, a on przeszedł na drugą stronę auta. Czarny lakier błyszczał w słabym świetle latarni; przeciągnęłam palcem po gładkiej powierzchni i zauważyłam z zadowoleniem, że Josh biegnie truchtem do swojego samochodu.

Trochę się wystraszyłam, gdy Seth nagle pojawił się za kierownicą; nie słyszałam, żeby otwierał drzwi. Zapalił silnik, którego pomruk bardzo mi się spodobał. Włączył się odtwarzacz, z głośników popłynęło coś agresywnego. Wokal nie był po angielsku, ale to tylko dodawało klimatu. Reflektory auta Josha zapaliły się i wyjechaliśmy na ulicę. Seth prowadził jedną ręką.

Puls mi przyspieszył, kiedy spojrzałam na niego w przyćmionym świetle. Chłodne powietrze jakby zgęstniało, kiedy nabraliśmy szybkości, wiatr rozwiał mi włosy.

- Mieszkam na południe stąd - powiedziałam, gdy dojechaliśmy do głównej drogi.

Seth skrzył we właściwą stronę. Auto Josha jechało za nami. Usadowiłam się wygodniej, żałując, że Seth nie zaproponował mi marynarki. Ale od kiedy wsiadłam do samochodu, nie odezwał się słowem i nie spozrzał na mnie. Przedtem był wcieleniem zadowolenia i pewności siebie. Teraz wyczuwałam w nim... oczekiwanie? I choć nie wiedziałam dlaczego, do mojego serca zaczął się zakradać niepokój. Jakby wyczuwając to, Seth odwrócił głowę, prowadził nie patrząc na czarną drogę.

- Za późno - wyszeptał, a ja poczułam, że blednę. - Łatwizna. Mówiłam im, że to będzie łatwe, jesteś taka młoda i głupia. Prawie niewarta wysiłku. A już z pewnością nie miałem z tego żadnej przyjemności. Zaschło mi w ustach.

- Słucham?

Seth zerknął na drogę i znów na mnie. Samochód przyspieszył, a ja złapałam uchwyt drzwi, odsuwając się jak najdalej od Seta.

- To nic osobistego, Madison. Jesteś tylko nazwiskiem na liście. Czy raczej duszą do odstrzału. Ważnym nazwiskiem, ale mimo to niczym więcej. Mówili, że to niewykonalne, a teraz będziesz moją przepustką do wyższego kręgu. Ty i twoje mizerne życie, które się nie wydarzy. Co jest grane, do diabła?

- Josh - powiedziałam, odwracając się w stronę reflektorów, które oddalały się coraz bardziej, w miarę jak Seth nabierał prędkości - jedzie za nami. Mój tata wie, gdzie jestem.

Seth uśmiechnął się, a ja zadrżałam, kiedy jego zęby zabłysły w blasku księżyca. Wszystko inne tonęło w cieniu, wszystkie dźwięki umykały w szumie wiatru.

- Myślisz, że to coś zmieni? *O Boże. Ale wdepnęłam.* Mój żołądek zwinął się w supeł.

- Zatrzymaj samochód - zażądałam stanowczo, jedną ręką ściskając uchwyt, a drugą przytrzymując włosy, które rozwiewał wiatr. - Zatrzymaj samochód i wypuść mnie. Nie możesz zrobić czegoś takiego. Ludzie wiedzą, gdzie jestem! Zatrzymaj samochód!

- Zatrzymać samochód? - spytał ze złośliwym uśmiechem. - Zatrzymam samochód. Przesunął stopę, wdepnął hamulec i gwałtownie skrzył kierownicę. Wrzasnęłam, chwytając się, czego popadnie. Świat zawirował. Krzyk zamarł mi w gardle i ogarnęło mnie dziwne uczucie, że jest za głośno, a jednocześnie przestało trząść. Nie byliśmy już na drodze. Wpadłam w panikę, gdy dotarło do mnie, że samochód obraca się w powietrzu. Cholera. To kabriolet.

Pochyliłam się, splotłam dłonie z tyłu głowy i zaczęłam się modlić. Wstrząsnęło mną uderzenie i wszystko zrobiło się czarne. Potężna siła pozbawiła mnie powietrza z płuc. Chyba byłam do góry nogami. Nagle szarpnęło mną w drugą stronę. Czarne niebo poszarzało; chwyciłam oddech, a samochód przekrzył się jeszcze raz, staczając się ze skarpy. Niebo

znów poczerniało i górna część samochodu walnęła o ziemię.

- Nie! - jęknęłam bezradna, kiedy wóz zatrzymał się wreszcie na kotach. Szarpnęło mną do przodu. Potworny ból przeszył moje plecy.

Było cicho. Oddychanie bolało. Boże, wszystko mnie bolało; oddychając płytko, gapiłam się na strzaskaną przednią szybę. Rozbite szkło połyskiwało w świetle księżyca, gdy powiodłam wzrokiem po zębatej linii w stronę deski rozdzielczej. Seta nie było. Bolały mnie wnętrzności. Nie widziałam krwi, ale chyba coś mi pękło w środku. *Żyłam?*

- Madison! - przez mój chrapliwy oddech usłyszałam wołanie z oddali. - Madison! To był Josh. Zmusiłam się, by spojrzeć w dwie okrągłe plamy światła na szczycie skarpy. Po zboczu zsuwała się ciemna postać. Josh.

Nabrałam powietrza, by go zawołać. Jęknęłam, kiedy ktoś chwycił mnie za głowę i odwrócił ją w swoją stronę.

- Seth? - szepnęłam. Wyglądało na to, że jest nietknięty, kiedy tak stał obok samochodu, przy moich drzwiach, w swoim czarnym jedwabnym kostiumie pirata. Księżyc oświetlał jego oczy i wisiorek, nadając im szary blask.

- Jeszcze żyjesz - stwierdził obojętnie, a z moich oczu popłynęły łzy. Nie mogłam się ruszyć. Wszystko mnie bolało, więc chyba nie byłam sparaliżowana. Do diabła, co za koszmarne urodziny. Tata mnie zabije.

- Boli - wydusiłam żalnym głosem, po czym pomyślałam: *co za głupota.*

- *Nie mam na to czasu* - zbył mnie Seth, wyraźnie zirytowany.

Otworzyłam szerzej oczy, ale nie ruszyłam się, kiedy z fałd kostiumu wyciągnął krótkie ostrze. Próbowałam krzyknąć, ale zabrakło mi tchu, gdy zamachnął się, jakby chciał mnie ugodzić. Księżyc błysnął na ostrzu, czerwonym od krwi kogoś innego. Fantastycznie. Psychopata. Wyszedłam z balu z mordercą psychopatą. Specjalnie ich wybieram czy co?

- Nie! - pisnęłam i zdołałam unieść ręce, ale ostrze przeszło mnie, nie robiąc mi krzywdy. Spojrzałam na swój brzuch, nie wierząc, że nawet nie jestem drażnięta. Sukienka nie była rozdarta, krew nie płynęła, ale przecież wiedziałam, że ostrze przeszło przeze mnie. Przeze mnie i przez samochód. Nic nie rozumiejąc, wpatrywałam się w Seta, który stał z nożem w ręce.

- Co... - spróbowałam zapytać, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że nic mnie już nie boli. Ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Seth uniósł pogardliwie brwi. Oslupiałam, kiedy poczułam pierwsze muśnięcie nicości, jednocześnie nowe i znajome jak dawno utracone wspomnienie.

Prerażające uczucie nieobecności załęgło się we mnie, zmrażając każdą myśl. Miękki

i puchaty koc nicości otulał mój świat, zaczynając od brzegów i wędrując do centrum, pochłonał najpierw księżyc, noc, potem moje ciało i wreszcie samochód. Krzyki Josha tonęły w cichym szmerze. Zostały tylko srebrne oczy Setna. A on odwrócił się i odszedł.

- Madison! - usłyszałam słaby krzyk, poczułam dotyk na policzku. A potem nawet to się rozplynęło, nie było już niczego.

2

Mgła nicości zsuwała się powoli, ustępując miejsca seriom bolesnych dreszczy. W pobliżu ktoś się kłócił. Było mi niedobrze, nie dlatego, że bolały mnie plecy i że ledwie mogłam oddychać, ale od strachu przed tymi głosami. Niemal czułam zapach zakurzonego futerka mojego pluszowego króliczka, jak wtedy, kiedy leżałam zwinięta w kłębek i słuchałam, jak ludzie, którzy byli całym moim światem, do mnie mówią. Byłam przerażona.

Owszem, zapewniali, że to nie moja wina, ale to nie złagodziło mojej rozpacz. Rozpacz, którą musiałam zdusić, aż stała się częścią mnie. Bólu, który do mnie przylgnął. Płacz w objęciach mamy świadczyłby o tym, że kocham ją bardziej. Łkanie na ramieniu taty - że to on jest najukochańszy. Przechlapane dorastać w taki sposób.

Ale to... to nie byli rodzice. To brzmiało jak kłótnia dzieciaków.

Zaczerpnęłam powietrza i przekonałam się, że łatwiej mi oddychać. Resztką mgły zniknęła razem z mrowieniem i moje płuca poruszyły się, obolałe, jakby ktoś na nich siedział. Gdy zdałam sobie sprawę, że mam zamknięte oczy, otworzyłam je i zobaczyłam coś zamazanego i czarnego przed samym nosem. Czułam mocny plastikowy zapach.

- Miała szesnaście lat, kiedy wsiadła do tego samochodu. To twoja wina - usłyszałam rozzłoszczony głos, młody, ale męski. Był dziwnie przytłumiony. Odnosiłam wrażenie, że ta kłótnia trwa już od jakiegoś czasu, ale pamiętałam tylko jej strzępy zaplątane między niespokojne myśli.

- Nie zwalisz tego na mnie - wtrąciła dziewczyna, równie cicho i z równą determinacją. - Kiedy zdmuchnął jej świecę, miała siedemnaście. To ty nawaliłeś, nie ja. Niech cię Bóg ma w opiece, miałeś ją tuż przed nosem! Jak mogłeś tego nie zauważyć?

- Nie zauważyłem, bo nie miała siedemnastu lat! - odpalił. - Kiedy ją namierzył, miała szesnaście. Skąd miałem wiedzieć, że wziął ją na cel? Dlaczego ciebie tam nie było? Nawaliłaś na całej linii.

Dziewczyna krzyknęła cicho, urażona. Było mi zimno. Gdy wzięłam głębszy oddech, poczułam przypływ siły. Coraz bardziej bolało. Było mi tu duszno, oddech wracał do mnie

cieplą falą. Nie było ciemno, to ja byłam w czymś.

- Ty mała szczeżujo! - wypaliła dziewczyna. - Nie mów mi, że to ja zawałam. Zmarła jako siedemnastolatka. To dlatego mnie przy tym nie było. Nie zostałam zawiadomiona. Ale ja się nie zajmuję szesnastolatkami - odparł on, coraz bardziej ostrym głosem. - Myślałem, że on chce zdmuchnąć tego chłopaka. Nagle zrozumiałam, że czarne, zamazane coś, utrudniające oddech, to plastikowa płachta. Poderwałam ręce i w przypiływie strachu przebiłam przez nią palce. Usiadłam spanikowana. Jestem na stole? Z pewnością to coś pode mną było wystarczająco twarde, by być stołem. Zrzuciłam z siebie plastik. Przy brudnobiałych wahadłowych drzwiach stała dwójka dzieciaków. Oboje odwrócili się zaskoczeni. Błada twarz dziewczyny poczerwieniała, a chłopak cofnął się, jakby zawstydzony, że przyłapałam ich na kłótni.

- O! - Dziewczyna odrzuciła za plecy długi ciemny warkocz. - Wstałaś. Cześć, jestem Lucy, a to jest Barnaba. Chłopak spuścił wzrok i pomachał, zażenowany.

- Cześć - powiedział. - Jak się masz?

- Ty byłeś z Joshem. - Wskazałam na niego drżącym palcem. Kiwnął głową, wciąż nie patrzył na mnie. Jego kostium marynarski wyglądał dziwnie przy szortach i koszulce na ramiączkach dziewczyny. Oboje mieli na szyjach wisiorki z czarnymi kamieniami. Kamyki były nijakie i nie rzucały się w oczy, ale moje spojrzenie powędrowało ku nim, bo były jedynym elementem wspólnym dla tej dwójki. Nie licząc ich wzajemnego gniewu i zaskoczenia na mój widok.

- Gdzie ja jestem? - zapytałam. Barnaba skrzywił się i zaszurał nogami po płytkach. - Gdzie jest Josh? - Zawahałam się, bo dotarło do mnie, że jestem w szpitalu, ale... Zaraz. Czy ja leżałam w plastikowym worku? - Jestem w kostnicy? Szamocząc się dziko, wyciągnęłam nogi z worka i zeskoczyłam na podłogę; obcasy wystukały dziwny kontrapunkt, kiedy złapałam równowagę. Na gumce wokół nadgarstka miałam plakietkę z nazwiskiem. Zdarłam ją z ręki, wyrywając przy okazji parę włosków. Spódnica była rozdarta i poplamiona czymś gęstym i tłustym. Byłam oblepiona błotem i trawą. Śmierdziałam polem i środkiem antyseptycznym. No tak. Mogę się pożegnać z depozytem.

- Ktoś popełnił błąd. - Wepchnęłam plakietkę do kieszeni. Lucy prychnęła.

- Barnaba - powiedziała. Chłopak zeszywniał.

- To nie jest moja wina! - wykrzyknął, odwracając się do niej. - Miała szesnaście lat, kiedy wsiadła do tego samochodu. Ja się nie zajmuję szesnastkami! Skąd miałem wiedzieć, że to jej urodziny?

- Tak? Miała siedemnaście, kiedy umarła, więc to twój problem! *Umarła? Czy oni są*

ślepi?

- Wiecie co? - wysyczałam, coraz pewniej stojąc na nogach. - Możecie się klócić, dopóki słońce nie zmieni się w supernową, ale ja muszę znaleźć kogoś i powiedzieć, że nic mi nie jest. - Ruszyłam do brudnych dwuskrzydłowych drzwi.

- Madison, zaczekaj - szepnął chłopak. - Nie możesz.

- No to patrz - odparłam. - Tata będzie na kogoś strasznie wkurzony. Przeszłam obok nich, ale kiedy pokonałam z sześć metrów, zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Zakręciło mi się w głowie, więc oparłam się o pusty stół; ogarnęło mnie dziwaczne wrażenie. Dopadło mnie znikąd. Poczułam skurcz w dłoni spoczywającej na stole, więc poderwałam ją, jakbym się oparzyła; miałam wrażenie, że zimny metal dotyka moich kości. Czułam się... niepewnie. Pomruk wentylacji przycichł. Nawet bicie mojego serca stało się jakieś odległe. Odwróciłam się i przyłożyłam dłoń do piersi, chcąc, by przestała być taka dziwna. - Co... Barnaba, stojący na drugim końcu pomieszczenia, wzruszył chudymi ramionami.

- Nie żyjesz, Madison. Sorry. Kiedy oddalasz się za bardzo od naszych amuletów, zaczynasz tracić cielesność.

Wskazał wózek, na którym leżałam przedtem. Spojrzałam.

Straciłam dech. Kolana ugięły się pode mną i nieomal upadłam. Wciąż tam byłam. Wciąż byłam na tym wózku. Leżałam w podartym worku, o wiele za mała i za blada, w wykwintnej sukni ułożonej wokół mnie. Jestem martwa? Ale przecież czuję bicie serca. Moje nogi i ręce osłabły i zaczęłam się osuwać. Głowa opadła mi bezwładnie.

- Cudownie. Mdleje - rzuciła sucho dziewczyna.

Barnaba rzucił się przed siebie, żeby mnie złapać. Jego ramiona objęły mnie w talii, i gdy tylko mnie dotknął, wszystko wróciło gwałtownie: dźwięki, zapachy, nawet puls. Moje powieki zatrzepotały. Barnaba był tuż. Z tak bliska wydawało mi się, że czuję od niego zapach słoneczników.

- Zamknij się, co? - warknął do Lucy, powoli opuszczając mnie na podłogę. - Okaż trochę współczucia. To twój zawód.

Zimno podłogi wsączało się we mnie, ale jednocześnie jakby otrzeźwiło. *Jak to możliwe, że nie żyję? Czy, zmarli mdleją?*

- Ja nie jestem martwa - powiedziałam niepewnie. Barnaba pomógł mi usiąść i oprzeć się plecami o nogę stołu.

- Owszem, jesteś. - Kucnął koło mnie. Jego brązowe oczy były pełne troski. Szczere. - Naprawdę bardzo mi przykro. Myślałem, że on przyszedł zdmuchnąć Josha. Oni zwykle nie zostawiają po sobie dowodów, takich jak samochód. Musiało im naprawdę na tobie zależeć.

Moje myśli pomknęły do wypadku. Położyłam dłoń na brzuchu. Josh był przy tym.

- On myśli, że nie żyję. Josh, znaczy. Z drugiego końca sali dobiegły kwaśne słowa Lucy:

- Bo nie żyjesz. Spojrzałam na wózek, ale Barnaba przesunął się, żeby zasłonić mi widok.

- Kim jesteście? - zapytałam. Mdłości powoli ustępowały. Barnaba wstał.

- Jesteśmy Komórką Ochrony Strategicznej Tragicznie Umierających. Centrum Heurystyki i Analizy.

Zastanowiłam się nad tym - *Komórka Ochrony Strategicznej... KOSTUCHA?* Jasna cholera. Poczułam przyływ adrenaliny. Pozbierałam się z podłogi, nie odrywając wzroku od mojego ciała na wózku - Przecież jestem tutaj! Żyję!

- Jesteście zniwiarzami ciemności! - wykrzyknęłam, po omacku wycofując się za stół, żeby się od nich odgradzić. Zaczęły mi drętwieć palce nóg, więc się zatrzymałam, spoglądając w panice na amulet na szyi Barnaby. - O Boże, ja nie żyję? - szepnęłam. - Nie mogę nie żyć. Nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie skończyłam! Mam dopiero siedemnaście lat!

- Nie jesteśmy zniwiarzami ciemności. - Lucy założyła ręce obrażona, jakby ją to ubodło. - My jesteśmy zniwiarzami światła. Zniwiarze ciemności zabijają ludzi, zanim przyjdzie czas, by ich świeca została zdmuchnięta. My próbujemy was ratować. A poza tym tamci to zdradzieckie kanalie, które za bardzo się chwala. Ale nie przetrwają dość długo, żeby zobaczyć, jak słońce na powrót zmienia się w pył. Barnaba zrobił zawstydzoną minę i znów zaszurał nogami.

- Zniwiarze ciemności pracują dla... drugiej strony. Rzadko zdmuchują świece, bo nie pozwalają im na to czarni zniwiarze, ale jeśli gdzieś dochodzi do nagłej tragedii z licznymi ofiarami, można mieć pewność, że się zjawia, żeby wyłapać parę dusz. To klusownicy. Zero klasy.

To ostatnie stwierdzenie wypowiedział z goryczą, zastanowiła mnie ta rywalizacja. Zaczęłam się cofać, ale znów poczułam się niepewnie. Zerkając na ich amulety, przesunęłam się do przodu, aż to dziwne uczucie zniknęło.

- Zabijacie ludzi. Tak powiedział Seth. Mówił coś o odstrzale dusz! Robicie to! Barnaba potarł dłonią kark.

- No więc my nie. Przeważnie. - Spojrzał na Lucy. - Seth jest zniwiarzem ciemności. My pokazujemy się tylko wtedy, kiedy namierzą kogoś, a jego czas jeszcze nie nadszedł, albo kiedy zajdzie pomyłka.

- Pomyłka? - Poderwałam głowę, pełna nadziei. *Czy to znaczyło, że mogą mnie odesłać z powrotem?* Lucy podeszła bliżej.

- Widzisz, ty nie miałaś umrzeć. Żniwiarz ciemności zdmuchnął twoją świecę, zanim przyszedł twój czas. Naszym zadaniem jest zapobieganie temu, ale czasem nam się nie udaje. Przyszliśmy tutaj oficjalnie cię przeprosić i odesłać tam, dokąd się wybierasz. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na Barnabę. - I kiedy tylko on przyzna, że to była jego wina, będę mogła się stąd wynieść. Zesztywniałam. Nie chciałam więcej patrzeć na moje ciało na wózku.

- Nigdzie się nie wybieram. Jeśli popełniliście błąd, nie ma sprawy. Po prostu ożywcie mnie z powrotem! Jestem tam. - Podeszłam przerażona do nieprzytomności. - Przecież możecie, prawda? Barnaba się skrzywił.

- Trochę na to za późno. Wszyscy już wiedzą, że nie żyjesz.

- Nie obchodzi mnie to! - krzyknęłam. Nagle coś mi przyszło do głowy i zmroziło mnie totalnie. Tata. On myśli, że ja... - Tata... - szepnęłam spanikowana. Zacerpnęłam powietrza, odwróciłam się do dwuskrzydłowych drzwi i ruszyłam biegiem.

- Czeka! Madison! - krzyknął Barnaba, ale ja wpadłam z impetem na drzwi i przebiegłam przez nie, choć uchyliły się ledwie na kilka centymetrów. Byłam w sąsiednim pomieszczeniu. Jakbym przeniknęła przez nie. Jakby mnie w ogóle nie było.

Za biurkiem siedział otyły gość, który uniósł głowę, słysząc cichutkie skrzypnięcie drzwi. Jego małe świńskie oczka powiększyły się i zachłysnął się powietrzem. Z otwartymi ustami wskazał na mnie palcem.

- Zaszła pomyłka - wypaliłam, idąc do otwartego przejścia prowadzącego na ciemnawy korytarz. - Ja nie jestem martwa.

Ale znów czułam się dziwnie. Mglista i cienka. Rozciągnięta. Dźwięki nie brzmiały tak, jak powinny, a brzegi mojego pola widzenia zaczęła zasnuwać szarość, zmieniając je w tunel. Barnaba wyszedł za mną przez drzwi. Świat natychmiast znormalniał. To rzeczywiście amulet nadawał mi cielesność. Musiałam sobie taki załatwić.

- Owszem, jest - powiedział, nie zwalniając kroku, dopóki nie chwycił mnie za nadgarstek.

- Masz halucynacje. Jej tu tak naprawdę nie ma. Ani mnie.

- Skąd się tu wzięliście? - wydusił facet, gapiąc się na nas. - Jak tu weszliście? Do recepcji wpadła Lucy, sprężynowe drzwi huknęły o ścianę, aż facet podskoczył.

- Madison, przestań się zachowywać jak zołza. Musisz już iść. Tego było technikowi za wiele. Sięgnął po słuchawkę. Wykręciłam nadgarstek, ale Barnaba nie puszczał.

- Muszę porozmawiać z tatą! - krzyknęłam, tracąc równowagę, kiedy szarpnął mnie

mocno.

- Wychodzimy - rozkazał. Groźba w jego oczach była czymś nowym. - W tej chwili. Spanikowana z całej siły nadepnęłam mu na stopę. Barnaba zawył i puścił mnie, jego chude ciało zgięło się wpół. Lucy wyśmiała go, a ja rzuciłam się w stronę korytarza. *Spróbujcie mnie zatrzymać*, pomyślałam, ale nagle wpadłam na coś dużego, ciepłego i pachnącego jedwabiem. Cofnęłam się i ogarnęło mnie przerażenie, gdy zobaczyłam, że to Seth, który zabił mnie nożem, nie zostawiając śladu, kiedy wypadek nie dokonał dzieła. Był żniwiarzem ciemności. Był moją śmiercią.

- Dlaczego jest was dwoje? - zapytał, patrząc na Barnabę i Lucy. Dźwięk jego głosu był znajomy, ale ton zupełnie inny. A bijący od niego zapach morza teraz wydawał się zgniły. - No tak - dodał, znów spoglądając na mnie. Zadrżałam. - Umarłaś w rocznicę swoich narodzin. Dwoje żniwiarzy. Proszę, proszę, Madison, wiesz, jak zrobić zamieszanie wokół siebie. Cieszę się, że wstałaś. Pora iść. Cofnęłam się skulona i przestraszona.

- Nie dotykaj mnie.

- Madison! - krzyknął Barnaba. - Uciekaj!

Ale mogłam wrócić tylko do kostnicy. Lucy zasłoniła mnie własnym ciałem i rozłożyła ręce, jakby chciała powstrzymać Seta wyłącznie siłą woli.

- Co ty tu robisz? - zapytała drżącym głosem. - Ona już jest martwa. Nie możesz jej zdmuchnąć dwa razy. Seth, pewny siebie, przestąpił z nogi na nogę.

- Jak powiedziałaś, zdmuchnąłem jej świecę. Jest moja, jeśli zechcę ją zabrać.

Barnaba zbladł.

- Nigdy po nich nie wracacie. Ty... - Jego oczy padły na kamień na szyi Seta. - Ty nie jesteś żniwiarzem ciemności, co? Seth wyszczerzył zęby, jakby usłyszał najlepszy dowcip.

- Nie, nie jestem. Jestem kimś więcej. I nie dasz mi rady. Odejdź, Barnabo. Po prostu stąd wyjdź. Jeśli to zrobisz, nie będzie bolało.

Bezradna gapiłam się na Barnabę. Jego brązowe oczy spojrzały w moje, dostrzegły mój strach. Widziałam, jak zbiera odwagę.

- Barnaba! - krzyknęła przerażona Lucy. - Nie rób tego!

Ale żniwiarz rzucił się na mroczną postać odzianą w czarny jedwab. Seth odwrócił się i od niechcienia uderzył go grzbietem dłoni. Machając w powietrzu rękami i nogami, Barnaba poleciał do tyłu, walnął o ścianę i osunął się nieprzytomny.

- Uciekaj! - krzyknęła Lucy, popychając mnie w stronę kostnicy. - Trzymaj się światła. Nie pozwól, żeby dotknęły cię czarne skrzydła. Sprowadzimy pomoc. Ktoś cię znajdzie. Wynos się stąd!

- Jak? - wykrzyknęłam. - On stoi przy drzwiach.

Seth znów się poruszył i tym razem walnął Lucy. Osunęła się tam, gdzie stała. Zostałam już tylko ja, jako że technik albo zemdłał, albo chował się pod biurkiem. Roztrzęsiona wyprostowałam się i poprawiłam sukienkę. Wdepnęłam jeszcze głębiej, pomyślałam.

- Jej chodziło o to - powiedział Seth tym swoim znajomym, i jednocześnie obcym głosem - że masz uciekać przez ściany. Miałabyś większe szansę uciec przed czarnymi skrzydłami w słońcu niż pod ziemią.

- Ale ja nie mogę... - zaczęłam i nagle spojrzałam na wahadłowe drzwi. Przeszłam przez nie, choć uchylily się ledwie na parę centymetrów. *Co do licha? Czyżbym była duchem?* Setli uśmiechnął się i ten uśmiech zmroził mi krew.

- Miło cię widzieć, Madison, teraz, kiedy naprawdę mogę... cię widzieć. - Zdjął maskę i upuścił na ziemię. Jego twarz była piękna, jak rzeźbiona w miękkim kamieniu. Oblizalam wargi i mróz przeszył mnie do kości, kiedy przypomniałam sobie jego pocałunek. Przyciskając rękę do piersi, zaczęłam się cofać, by znaleźć się poza zasięgiem kamieni Barnaby i Lucy. Wtedy przejdę przez ściany. Skoro Pan Straszny tak uważa, to znaczy, że to prawda. Seth szedł za mną krok za krokiem.

- Wychodzimy razem. Nikt nie uwierzy, że cię zdmuchnałem, dopóki nie rzucę cię do ich stóp.

Stukając obcasami, szłam dalej. Zerknęłam na Barnabę i Lucy, którzy wciąż leżeli rozciągnięci na podłodze.

- Wolałabym jednak zostać, dziękuję. - Serce mi łomotało. Dotknęłam plecami ściany i pisnęłam rozpaczliwie. Byłam dość daleko od kamieni i powinnam już zrobić się mglista, ale tak nie było. Spojrzałam na Setha, na czarny kamień na jego szyi. Był taki sam. Do licha!

- Nie masz wyboru - powiedział. - To ja cię zabiłem. Jesteś moja. Wyciągnął rękę i chwycił mnie za nadgarstek. Poczułam falę adrenaliny i wykręciłam rękę.

- Jeszcze czego - rzuciłam i wymierzyłam mu kopniaka w gołeń. Poczul go, to pewne, bo stęknął i zgiął się z bólu, ale nie puścił. Ale jego twarz znalazła się w moim zasięgu, więc chwyciwszy go za włosy, trzasnęłam jego nosem o moje kolano. Poczułam pękającą chrząstkę i trochę mnie zemdliło. Przeklinając tak strasznie, że aż bolały uszy, puścił mnie i zatoczył się do tyłu.

Musiałam się stąd wydostać. Ale musiałam być cielesna, bo inaczej nic z tego. Z łomoczącym sercem złapałam kamień na jego szyi i ściągnęłam mu go przez głowę. Palił mnie jak ogień, ale zacisnęłam dłoń, mając nadzieję, że ten ból oznacza, że się nie rozplynę.

Seth gruchnął na podłogę, gapiąc się na mnie, z twarzą zalaną krwią. Miał tak zaskoczoną minę, jakby wpadł na szklaną ścianę.

- Madison... - wyrzeźił Barnaba z podłogi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że patrzy na mnie pełnymi bólu, półprzytomnymi oczami. - Uciekaj - wyszeptał.

Z amuletem Setha w dłoni odwróciłam się w stronę korytarza... I uciekłam.

3

Tato!

Stałam w otwartych drzwiach. Niespokojnie wsłuchiwałam się w ciszę.

Gdzieś za moimi plecami kosiarka do trawy brzęczała w porannym słońcu. Złoty blask wlewał się przez okna, odbijając się od drewnianych podłóg i poręczy schodów. Przebiegłam całą drogę, na obcasach i w tej wstrętnej sukience. Ludzie się na mnie gapili, a fakt, że nie byłam ani odrobinę zmęczona, lekko mnie przerażał. Mój puls był przyspieszony ze strachu, nie z wysiłku.

- Tato?

Weszłam do środka. Łzy wzruszenia zapiekły mnie pod powiekami, kiedy z góry dobiegł pełen niedowierzania drżący głos:

- Madison?

Wbiegłam po schodach, po dwa naraz, potykając się o spódnicę. Ostatni schodek pokonałam na czworakach. Ze ściśniętym gardłem zatrzymałam się w drzwiach mojego pokoju. Tata siedział na podłodze, wśród moich pudeł, otwartych, ale nie rozpakowanych. Wyglądał staro, jego szczupła twarz była wyniszczona bólem. Nie mogłam się ruszyć. Nie wiedziałam, co zrobić. Gapił się na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby wcale mnie tam nie było.

- Nie rozpakowałaś się nawet - szepnął.

Gorąca łza spłynęła mi na podbródek. Nie wiedziałam, skąd się wzięła. Kiedy go tak zobaczyłam, zrozumiałam, że naprawdę potrzebował, bym przypomniała mu dobre chwile. Nikt mnie nigdy wcześniej nie potrzebował.

- Prze... Przepraszam, tato... - wykrztusiłam, stojąc bezradnie w progu. Złapał oddech i otrząsnął się z tego osłupienia. Wzruszenie rozświetliło jego twarz. Zerwał się z podłogi.

- Ty żyjesz? - szepnął. Zachłysnęłam się z zaskoczenia, kiedy pokonał dzielącą nas odległość i zmiażdżył mnie w objęciach. - Powiedzieli mi, że zginęłaś. Ty żyjesz?

- Nic mi nie jest. - Wyszlochałam w jego pierś. Ulga była tak gwałtowna, że wręcz

bolesna. Pachniał laboratorium, w którym pracował, olejem i tuszem i nic nigdy nie pachniało tak pięknie. Nie potrafiłam powstrzymać łez. Byłam martwa - chyba. Miałam amulet, ale nie wiedziałam, czy będę mogła zostać, i ta niepewność, ten strach, podsycaly moją bezradność. - Nic mi nie jest - powtórzyłam ze szlochem. - Ale zaszła pomyłka. Śmiejąc się przez łzy, tata odsunął mnie od siebie, by spojrzeć mi w twarz. Łzy błyszczaly w jego oczach i uśmiechał się, jakby już nigdy nie miał przestać.

- Byłem w szpitalu - powiedział. - Widziałem cię. - Wspomnienie tego bólu przyćmiło jego spojrzenie, i dotknął moich włosów drżącą dłonią, jakby chciał się upewnić, że jestem prawdziwa. - Ale tobie nic nie jest. Próbowałem dzwonić do twojej matki. Pomyśli sobie, że zwariowałem. Jeszcze bardziej. Nie mogłem jej się nagrać na sekretarkę i powiedzieć, że miałaś wypadek. Więc się rozłączyłem. Ale ty naprawdę jesteś cała i zdrowa? Miałam ściśnięte gardło, głośno pociągałam nosem. *Nie oddam amuletu*, pomyślałam. *Nigdy*.

- Przepraszam, tato - wyjąkałam, wciąż płacząc. - Nie powinnam była jechać z tym chłopakiem. Nie powinnam. Przepraszam. Przepraszam!

- Ćśśś. - Znow wziął mnie w objęcia i zaczął kołysać, ale ja tylko rozszlochałam się jeszcze głośniej. - Już dobrze. Już wszystko dobrze - uspokajał mnie, głaszcząc po włosach. Ale przecież nie wiedział, że naprawdę nie żyję.

Nagle coś go zastanowiło, oddech zatrzymał mu się w piersi. Odsunął mnie na odległość ręki i chłód, który wsączył się we mnie, gdy mnie tak oglądał, zatamował moje Izy.

- Tobie naprawdę nic nie jest - powiedział zdumiony.

- Nie masz nawet jednego zadrapania. Uśmiechnęłam się nerwowo i jedna z jego rąk zsunęła się ze mnie.

- Tato, muszę ci coś powiedzieć. Ja...

Za drzwiami rozległo się ciche szuranie. Tata spojrział przez moje ramię, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam zażenowanego Barnabę, stojącego obok niskiego mężczyzny w luźnym stroju, jak od wschodnich sztuk walki. Ciuch był za luźny. Absolutnie niefunkcjonalny. Facet był wyprostowany jak struna i chudy. Miał ostre rysy i bardzo ciemną skórę. Oczy miał ciemnobrązowe, z głębokimi zmarszczkami w kącikach. Włosy też zdradzały jego wiek - gęste, siwe na skroniach.

- Przepraszam - odezwał się tata, pociągając mnie za sobą. - Czy to panowie przyprowadzili moją córkę do domu? Dziękuję.

Nie podobał mi się grymas na twarzy Barnaby i musiałam się powstrzymać, żeby nie schować się za tatą. Wciąż mnie obejmował i nie chciałam się ruszać, żeby mnie nie puścił. Zdaje się, że przyprowadził szefa. Ale ja chciałam tu zostać. *Niech to szlag, nie chcę być*

martwa. To nie fair! - pomyślałam. Ciemnoskóry mężczyzna patrzył na nas z żalem.

- Nie. - Jego głos był przyjemny, rześki. - Tego dokonała sama. Bóg wie, jakim cudem. Otarłam oczy przestraszona.

- Oni mnie nie przyprowadzili. - Przystąpiłam nerwowo z nogi na nogę. - Nie znam ich. Widziałam tego chłopaka - dodałam. - Ale nie tego starszego. Tata wciąż uśmiechał się neutralnie, próbując zrozumieć, co jest grane.

- Panowie jesteście ze szpitala? - zapytał i nagle jego twarz stężała. - Kto jest odpowiedzialny za wmawianie mi, że moja córka nie żyje? Czyjaś głowa za to poleci. Barnaba skulił się, a jego szef pociągnął nosem, jakby chciał przytaknąć.

- Trudno o prawdziwsze słowa, sir. - Omiótł wzrokiem mój pokój, oglądając różowe ściany, białe meble i nierozpakowane pudła. Wreszcie jego spojrzenie padło na mnie, byłam ciekawa, do jakiej doszedł konkluzji. Moje życie skończyło się tak nagle, że byłam trochę jak mój pokój. Wszystko było na miejscu, ale nierozpakowane do końca. A teraz pudła znów zostaną zaklejone i upchnięte do szafy. Nikt już nie obejrzy tych wszystkich fajnych rzeczy, które się w nich kryją. Ale ja jeszcze nie skończyłam.

Zesztywniałam, kiedy ten człowieczek wszedł do pokoju, unosząc pojednawczo chudą rękę.

- Musimy porozmawiać, dziecko - powiedział. Zadrżałam. O Boże. Chciał, żebym z nim poszła.

Przycisnęłam amulet do piersi, a ręka taty objęła mnie mocniej. Zobaczył moje przestraszone spojrzenie i wreszcie zrozumiał, że coś jest nie tak. Przesunął się, stając między mną a tymi dwoma w progu.

- Madison, dzwonić po policję - polecił. Sięgnęłam po słuchawkę telefonu leżącego na nocnej szafce. To zdążyłam rozpakować.

- Ach, widzę, że potrzebujemy czasu - stwierdził staruszek.

Spojrzałam na niego, kiedy machnął ręką jak marny aktor w filmie science fiction. Sygnał w słuchawce umilkł, ucichła też kosiarka na dworze. Osłupiała zagapiłam się na telefon, a potem na tatę stojącego między mną a nimi. Nie poruszał się.

Zmiękły mi kolana. Odłożyłam telefon i przyjrzałam się tacie. Wyglądało na to, że nic mu nie jest. Nie licząc tego, że się nie ruszał.

Staruszek westchnął, więc moje spojrzenie pobiegło ku niemu. Jasna chochła, pomyślałam, zdrętwiała ze strachu. Nie zamierzałam wyjść stąd bez walki.

- Puść go - powiedziałam drżącym głosem - Albo... albo... Usta Barnaby drgnęły, a staruszek uniósł brwi. Jego oczy były szaroniebieskie. Przysięgłabym, że przed chwilą były

brązowe.

- Albo co? - zapytał, przyjmując pewną siebie postawę i zakładając ręce na piersi.

Spojrzałam na skamieniałego tatę.

- Zacznę wrzeszczeć albo coś - zagroziłam.

- Proszę bardzo. Nikt cię nie usłyszy. Twój krzyk będzie trwał ułamek sekundy, zbyt krótko dla ludzkich uszu.

Zaczerpnęłam powietrza, by jednak spróbować, a on pokręcił głową. Mój oddech jakby wybuchnął z wrzaskiem, cofnęłam się jak szalona, kiedy staruszek wykonywał gwałtowny ruch. Ale nie chodziło mu o mnie. Wyszarpnął spod toaletki białe krzesło i usiadł, bokiem do lustra. Oparł łokieć o blat, a czoło o dłoń, jakby był bardzo zmęczony. Wyglądał dziwnie w zestawieniu z pozytywką i babskimi drobiazgami.

- Dlaczego nic nigdy nie jest proste? - mruknął, głaszcząc moje ceramiczne zębry. - To ma być jakiś dowcip? - powiedział głośniejszym głosem, patrząc w sufit. - Śmiejesz się? Zrywasz boki, co?

Spojrzałam na drzwi, ale Barnaba pokręcił ostrzegawczo głową. Dobra. Było jeszcze okno, chociaż skacząc w tej kiece, mogłam się zabić. A, zaraz. Przecież już byłam martwa.

- Czy mojemu tacie nic nie jest? - zapytałam, ośmielając się dotknąć jego łokcia. Barnaba kiwnął głową, a staruszek znów spojrzał na mnie. Skrzywił się, jakby podjął jakąś decyzję, i wyciągnął rękę. Zagapiłam się na nią, ale nie ucisnęłam jej.

- Miło mi cię poznać - powiedział stanowczo. - Madison, tak? Mnie wszyscy nazywają Ron. Wciąż tylko na niego patrzyłam, więc powoli opuścił rękę.

- Barnaba powiedział mi, co zrobiłaś - dodał. - Mogę to zobaczyć? Zaskoczona przestąpiłam z nogi na nogę; moje palce zsunęły się z ręki taty. Rany... To było niesamowite. Jakby cały świat się zatrzymał, ale przecież ja sama byłam żywym trupem, więc pewnie zamrożenie mojego taty to był drobiazg.

- Co zobaczyć?

- Kamień - rzucił Ron niecierpliwie.

On go chciał. Chciał mi go zabrać, a to była jedyna rzecz, dzięki której byłam żywa. A przynajmniej nie do końca martwa.

- Nie ma mowy - zaprotestowałam, unosząc rękę, by poczuć chłodną powierzchnię kamienia. Niespokojna mina Rona upewniła mnie co do jego wartości.

- Madison - powiedział uspokajająco, wstając. - Ja chcę tylko na niego popatrzeć.

- Chcesz go zabrać! - wybuchłam. Serce tłukło mi się w piersi. - To jedyna rzecz, która zapewnia mi cielesność. Nie chcę umierać. To wy narozrabialiście. Nie powinnam być

martwa! To wasza wina!

- To prawda. Niemniej jesteś martwa - westchnął Ron. Chwyciłam ze świstem oddech, kiedy znów wyciągnął rękę. - Pozwól mi tylko na niego spojrzeć.

- Nie oddam go! - krzyknęłam, a w oczach Rona zabłysł strach.

- Madison, nie! Nie mów tego! - zawołał, wyciągając do mnie rękę. Zatoczyłam się do tyłu, rezygnując z wątpliwej ochrony taty, i mocniej ścisnęłam kamień.

- Jest mój! - pisnęłam, uderzając plecami o ścianę. Ron zahamował gwałtownie i opuścił rękę. Przerazenie było wyraźnie widoczne na jego starej twarzy. Cały świat jakby zawisł na włosku.

- Och, Madison - szepnął. - Naprawdę, nie powinnaś była tego mówić. Nie wiedząc, dlaczego się zatrzymał, patrzyłam na niego, gdy nagle wstrząsnął mną dreszcz. Lodowaty skurcz zaczął się rozchodzić z mojej dłoni trzymającej amulet, ogarniając błyskawicznie całe ciało, usztywniając mięśnie. To było jak elektrowstrząs. Słyszałam w uszach echo własnego pulsu, aż wypełnił mnie i poczułam się niemal... Cała. W następnej chwili przyszła fala gorąca, jakby dla zrównoważenia tego zimna, i... Było po wszystkim. Coś pozbawiło mnie tchu. Stałam tak z plecami przy ścianie. Z dziko bijącym sercem patrzyłam na Rona. Miał żalostną minę, był cichy i przygnębiony. Bałam się poruszyć. Ale amulet w mojej dłoni zrobił się jakiś inny. Wciąż czułam słabe dreszcze rozchodzące się od niego, nie mogąc się powstrzymać, otworzyłam dłoń i spojrzałam. Wyglądał inaczej.

- Patrzcie! - rzuciłam idiotycznie. - Zmienił się.

Ron, przygarbiony, klapnął na krzesło, mamrocząc coś pod nosem. Zdumiona wypuściłam kamień, tak że teraz trzymałam go za łańcuszek. Kiedy zerwałam go z szyi zniwiarza ciemności, był tylko zwykłym szarym rzeczonym otoczakiem. Teraz stał się absolutnie czarny, jak plamka nicości zawieszona na sznurku. Czarny drucik, którym był opleciony, nabrał srebrzystego połysku, odbijał światło po całym pokoju. Może go zepsułam. Ale był piękny. Jak mógł być zepsuty?

- Nie tak wyglądał, kiedy go zabrałam - szepnęłam. Zmroził mnie wyraz politowania, który pojawił się na twarzy Rona. Stojący za nim Barnaba był przerażony - blady jak ściana, z wielkimi oczami.

- Słuszne spostrzeżenie - powiedział gorzko Ron. - Mieliśmy nadzieję zakończyć to jak należy, zanim przywłaszczysz sobie kamień.. Ale nie, teraz jest twój - Spojrzał mi w oczy z niesmakiem. - Gratulacje. Powoli opuściłam rękę i nerwowo zaszurałam nogami. Kamień był mój. On powiedział, że jest mój.

- Ale to był kamień czarnego zniwiarza - powiedział Barnaba, drgnęłam, słysząc

strach w jego głosie. - To coś nie było żniwiarzem, ale miało kamień żniwiarza. Ona jest czarnym żniwiarzem! Otworzyłam usta.

- Zaraz, chwila.

- Ona jest czarnym żniwiarzem! - wrzeszczał Barnaba.

Opadłam, szczeka, kiedy nerwowo sięgnął pod koszulę i wyjął krótką kosę, identyczną z nożem Seta, skoczył między mnie a Rona.

- Barnabo! - huknął Ron i uderzył go, aż zatoczył się do drzwi. - Ona nie jest czarnym żniwiarzem, idioto! Nie jest nawet białym. Nie może nim być. Jest człowiekiem, nawet jeśli nie żyje. Schowaj to, bo sprawie, że zardzewieje ze starości!

- Ale to kamień czarnego żniwiarza - nie ustępował Barnaba. Zgarbił się - Widziałem jak go zabierała!

- A czyja to wina, że wiedziała co to jest, Barney? - rzucił szyderczo. Chłopak zrobił krok w tył i pochylił głowę zawstydzony.

Z bijącym sercem stałam w kącie i ścisnęłam wisiołek tak mocno, że bolały mnie palce. Ron spoglądała karcąco to na mnie, to na Barnabę.

- To nie jest kamień czarnego żniwiarza. Czarny żniwiarz nie byłby dość silny, żeby zostawić po sobie namacalny dowód swojego istnienia, ani... - ciągnął, unosząc rękę, by Barnaba mu nie przerywał - nie miałby powodu wracać po upolowaną duszę. Ona ma coś potężniejszego niż kamień żniwiarza i oni po to wrócą. Możecie być pewni.

Och, świetnie. Po prostu cudownie.

Barnaba wziął się w garść, choć wciąż był niespokojny i przestraszony.

- Rzeczywiście, wspomniał, że nie jest żniwiarzem, ale myślałem, że próbuje nas zastraszyć. Więc czym jest, jeśli nie żniwiarzem?

- Jeszcze nie wiem. Ale mam kilka pomysłów.

To przyznanie się Rona do niewiedzy było gorsze niż cokolwiek, co mógł powiedzieć. Poczulałam strach paraliżujący mnie. Zadrzałam, a Ron westchnął, widząc to. - Powinienem wiedzieć, że zanoszą się na coś takiego - mruknął. Znowu spoglądając w sufit, huknął: - Miło by było dostać okólnik!

Jego głos rozległ się echem, podkreślając ciszę, która skuła świat. Przypomniałam sobie, że ci dwaj ludzie tak naprawdę nie są ludźmi, i spojrzałam na tatę, nieruchomego i sztywnego jak manekin. *Chyba nie zrobią mi krzywdy, co? Żeby zamaskować swój błąd?*

- Na gwiazdny pył - powiedział cicho Ron. - Po prostu dostosujemy się do sytuacji najlepiej, jak się da.

Wstał z ciężkim westchnieniem. Widząc, że się ruszył, wyskoczyłam z kąta i stanęłam

między nim a tatą. Ron spojrział na moją podniesioną rękę, jakbym była kociakiem próbującym odpędzić psa.

- Nigdzie nie idę - syknęłam, zasłaniając tatę, jakbym rzeczywiście mogła cokolwiek zrobić. - I nie tkniesz mojego taty. Mam kamień. Jestem cielesna. Jestem żywa! Ron spojrział mi w oczy.

- Masz kamień, ale nie wiesz, jak go użyć. I nie jesteś żywa. To złudzenie. Ale skoro masz kamień, a oni mają twoje ciało...

Spojrzałam na Barnabę i po jego zmieszanej minie poznałam, że to prawda.

- Seth? Zabrał moje ciało? - zapytałam ze strachem. - Dlaczego?

Ron wyciągnął rękę. Podskoczyłam, kiedy jego dłoń wylądowała na moim ramieniu. Była ciepła i czułam jego wsparcie, choć wiedziałam już, że nie może wiele zrobić, żeby mi pomóc.

- Żebyś nie mogła przejść na drugą stronę i oddać nam kamienia? - rzucił pytająco, spoglądając na mnie z politowaniem. - Dopóki mają twoje ciało, jesteś tu uwięziona. Kamień, który zabrałaś, najwyraźniej jest ważny. Dopasował się do twoich śmiertelnych możliwości. Niewiele kamieni to potrafi. Zwykle kiedy śmiertelnik przywłaszcza sobie kamień, ten zmienia go w proch nadmiarem mocy. Otworzyłam usta ze zdumienia, a Ron pokiwał głową.

- Przywłaszczanie sobie tego co boskie, kiedy nie ma się do tego prawa, to pewny sposób, by unicestwić swoją duszę. Zamknęłam usta, opanowując dreszcz.

- Gdybyśmy go mieli - ciągnął Ron - zyskalibyśmy nad nimi przewagę. W tej chwili jest w próżni, tak jak ty, jak świeca niezdmuchnięta do końca. Jego dłoń zsunęła się z mojego ramienia. Poczula się jeszcze bardziej samotna i jeszcze mniejsza, choć była wyższa od niego.

- Dopóki pozostajesz po cielesnej stronie, mogą mieć nadzieję, że cię znajdą - wyjaśnił, podchodząc do okna, by wyrzeć przez nie na świat, który zwolnił tak bardzo, jakby czas przestał płynąć.

- Ale Seth wie, gdzie jestem - powiedziałam skołowana. Ron odwrócił się powoli.

- Opuścił ten świat dość gwałtownie, i to bez twojego ciała. Przeszedł na drugą stronę bez kamienia, dzięki któremu pamiętałby, gdzie dokładnie znajdujesz się w czasie. Trudno mu będzie cię znaleźć. Szczególnie jeśli nie zrobisz niczego, by ściągnąć na siebie uwagę.

Panna anonimowa. Tak, to potrafię. Jasne. Bolała mnie głowa od prób zrozumienia, co on do mnie mówi.

- Ale cię znajdzie. Zabierze ze sobą ciebie i kamień. A co wtedy się stanie? - Kręcąc głową, znów odwrócił się do okna; światło słońca obrysowywało go złotym konturem. - Oni robią straszne rzeczy.

Seth miał moje ciało. Czulałam, że blednę coraz bardziej. Barnaba dostrzegł to i odchrząknął, żeby zwrócić uwagę Rona. Oczy staruszka spoczęły na mnie i zamrugały, jakby zdał sobie sprawę, co powiedział.

- Ale mogę się mylić - powiedział, co wcale mi nie pomogło. - Czasem się mylę. Puls mi przyspieszył, poczułam ukłucie paniki. Przed wypadkiem Seth powiedział, że jestem jego przepustką do wyższego kręgu. Nie chciał tylko mojej śmierci. Chciał mnie. Nie kamienia, który mu ukradłam. Mnie. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć to Ronowi, ale, wystraszona, zmieniłam zdanie. Barnaba dostrzegł mój nagły lęk i domyślił się, że coś ukrywam, ale Ron szedł już przez pokój stanowczym krokiem i wypchnął go za drzwi. Barnaba w milczeniu wycofał się do korytarza, ze spuszczoną głową, zamyślony. Pewnie się bał, że to, czego im nie mówię, może mu przysporzyć jeszcze więcej kłopotów. Zaniepokoiłam się nie na żarty. *Chyba mnie nie zostawią samą, co?*

- Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zadbać o twoje bezpieczeństwo, dopóki nie dowiemy się, jak przełamać władzę kamienia nad tobą, bez unicestwienia twojej duszy - ocenił Ron.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że nie mogę umrzeć - rzuciłam. *Gdzie on się wybiera? Przecież Seth po mnie wróci!*

Roń zatrzymał się w progu. Barnaba stał za jego plecami; patrzył z troską. Nie pasowało to do siedemnastolatka, na którego wyglądał.

- Nie możesz umrzeć, bo już nie żyjesz - odparł staruszek. - Ale są gorsze rzeczy. *Cudownie*, pomyślałam. Nagle zrobiło mi się gorąco na wspomnienie tańca z Sethem, jego pocałunku, chrzęstu jego nosa łamiącego się na moim kolanie i nienawistnego spojrzenia, które mi posłał. *Brawo, Madison*. Nie tylko spieprzyłam sobie opinię w nowej szkole, ale na dodatek naraziłam się aniołowi śmierci. Znalazłam się na samym szczycie jego czarnej listy.

- Barnabo? - spytał Ron. Podskoczyłam wyrwana z zamyślenia. Barnaba też wyglądał na zaskoczonego.

- Sir?

- Gratulacje, właśnie awansowałaś na anioła stróża. Barnaba znieruchomiał i spojrzał na mnie przerażony.

- To nie jest awans, to jest kara!

- Po części to twoja wina - powiedział Ron szorstkim tonem, który kłócił się z przebiegłym uśmiechem, jaki posłał mnie tak, żeby Barnaba nie widział. - Może nawet więcej niż po części. - Jego twarz spoważniała. - Pogódź się z tym. I nie odgrywaj się na niej.

- Ale Lucy! To ona była za nią odpowiedzialna! - zaprotestował. Znów wyglądał

młodo.

- Madison ma siedemnaście lat - oznajmił Ron tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ty się zajmujesz siedemnastolatkami. To powinna być dla ciebie pestka. - Odwrócił się z rękami na biodrach. - Oprócz twoich zwykłych zajęć będziesz aniołem stróżem Madison. Myślę, że rozwiążemy tę sprawę w ciągu roku. - Zamyślił się.

- Ale, sir! - wykrzyknął Barnaba, wpadając na ścianę korytarza, kiedy Ron przepchnął się obok niego i ruszył do schodów. Poszłam za nimi, nie wierząc własnym uszom. *Mam anioła stróża?*

- Sir, ja nie mogę - powiedział Barnaba, przez co poczułam się jak niechciany balast. - Nie mogę wykonywać swojej pracy i jednocześnie jej pilnować! Jeśli za bardzo się oddalę, oni ją zabiorą!

- Więc zabieraj ją ze sobą do pracy. - Ron pokonał kilka stopni w dół. - Musi się dowiedzieć, jak tego używać. Naucz ją czegoś w wolnym czasie, którego ci nie brakuje. Poza tym nie musisz przecież utrzymać jej przy życiu. Chroń tylko świecę, by nie przestała dymić. I tym razem postaraj się lepiej spisać - warknął. Barnabę zatkało, a Ron odwrócił się, by spojrzeć na mnie z troską.

- Madison - powiedział na pożegnanie. - Trzymaj wisiołek przy sobie. Ochroni cię. Jeśli go zdejmiesz, czarne skrzydła cię znajdą, a żniwiarze ciemności zawsze są w ich pobliżu.

Czarne skrzydła. Znow to określenie. Już sama ta nazwa wywoływała paskudne obrazy w moich myślach.

- Czarne skrzydła? - zapytałam i te dwa słowa zdawały się mieć ohydny smak. Ron zatrzymał się na dolnym schodku.

- Podłe sępy, pozostałe po dziele stworzenia. Wyczuwają węchem śmierć, jeszcze zanim się wydarzy, i próbują uszczknąć kawałek zapomnianej duszy. Nie pozwól, by cię dotknęły. Nie żyjesz, więc mogą cię wyczuć, ale póki masz kamień, będą cię brać za żniwiarza i dadzą ci spokój. Kiwałam głową jak nakręcona. Uważać na czarne skrzydła. Rozkaz.

- Kronusie! - rzucił Barnaba, gdy Ron znow ruszył przed siebie. - Proszę cię. Nie rób mi tego!

- Więcej entuzjazmu. Sprawuj się dobrze - mruknął Ron, idąc do drzwi. - To tylko na rok.

Wyszedł za próg, w blask słońca. Gdy padło na niego światło, zniknął, ale nie od razu, a stopniowo. Słońce wlewające się do domu zamigotało i nagle daleka kosiarka zawarczała na

nowo.

Wzięłam głęboki wdech. Świat znów zaczął się kręcić, znów było słychać ptaki, wiatr, czyjeś radio. Ośłupiała stałam u boku Barnaby.

- Jak to tylko rok? - szepnęłam. - Mam tylko rok? Barnaba obrzucił mnie wzrokiem ewidentnie wkurzony.

- A skąd ja mam wiedzieć? Z mojego pokoju dobiegło zdumione wołanie:

- Madison? To ty?

- Tato! - krzyknęłam. Wpadłam na niego, gdy wyszedł na korytarz. Zmienił to zderzenie w radosny uścisk, otaczając mnie ramionami i z uśmiechem patrząc na Barnabę.

- Ty pewnie jesteś tym chłopcem, który wczoraj przywiózł Madison. Seth, zgadza się?

Co? Pomyślałam ośłupiała. Przecież już widział Barnabę. I jakim cudem tak szybko zmienił się z rozgniewanego ochroniarza w szczęśliwego rodzica? I co z wypadkiem samochodowym? Moją śmiercią? Barnaba przestąpił z nogi na nogę zażenowany. Posłał mi spojrzenie mówiące, że mam się zamknąć.

- Nie, proszę pana, jestem Barnaba. Kolega Madison. Ja też z nią wczoraj byłem, kiedy Josh sobie poszedł. Miło mi pana poznać. Wpadłem tylko, żeby zapytać, czy Madison ma ochotę na spacer.

Tata zrobił dumną minę. W końcu udało mi się znaleźć kolegę bez jego pomocy. Byłam kompletnie skołowana. Tata odchrząknął, jakby próbował zdecydować, jak ma traktować mojego pierwszego chłopaka, jakiego poznał osobiście, i w końcu uściśnił wyciągniętą rękę Barnaby. A ja stałam i patrzyłam oglupiała, jak się witają. Gdy Barnaba zerknął na mnie i lekko wzruszył ramionami, zaczęłam się uspokajać. Wyglądało na to, że cała historia została wymazana z pamięci taty, a zamiast niej pojawiło się fałszywe wspomnienie zwykłego wieczoru. Dostałam alibi, o jakim marzyła każda nastolatka. Teraz musiałam się tylko dowiedzieć, jak Ron to zrobił. Tak na przyszłość.

- Ehm, macie może coś do jedzenia? - powiedział Barnaba, pocierając dłonią kark. - Jestem głodny, jakbym nie jadł całe wieki.

Tata, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeszedł w tryb jowialnego tatuśka i zszedł na dół, gadając coś o gofrach. Barnaba ruszył za nim, ale zatrzymał się, kiedy złapałam go za rękaw.

- Więc historia jest taka, że Seth przywiózł mnie do domu i przez resztę wieczoru oglądałam telewizję? - zapytałam, chcąc wiedzieć, czy została jeszcze jakaś praca do wykonania. - Nigdy nie spadłam z tej skarpy? - dodałam, kiedy kiwnął głową. - Kto będzie pamiętał wczorajszy wieczór?

- Nikt z żyjących - odparł. - Ron bardzo sumiennie to załatwił. Musiał cię polubić. - Jego spojrzenie zsunęło się na kamień wiszący na mojej szyi. - Albo podoba mu się twój nowy kamyczek.

Znów zdenerwowana puściłam jego koszule. Poszedł za moim, tatą, który głośno pytał nas z kuchni, czy Barnaba może zostać na śniadanie. Poprawiłam sukienkę, przyglądałam potargane włosy i powoli, ostrożnie poszłam za nim. Czułam się strasznie dziwnie. Rok. Miałam przynajmniej rok. Może i nie żyłam, ale przynajmniej nie do końca. Postanowiłam, że nauczę się używać kamienia i zostanę tu, gdzie jestem. Gdzie jest moje miejsce. Z tatą. Zobaczycie.

4

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Siedziałam po ciemku na dachu, rzucając kamyczkami w mrok i próbując wszystko sobie poukładać w głowie. Nie byłam żywa, ale nie byłam też całkiem martwa. Tak jak podejrzewałam, ostrożne przesłuchanie taty na temat poprzedniego dnia potwierdziło, że nie tylko nie miał pojęcia, iż leżałam w kostnicy, ale w ogóle nie pamiętał wypadku. Sądził, że pogoniłam Josha, kiedy się dowiedziałam, że to była randka z litości, wróciłam do domu z Sethem i Barnabą i przez całą wieczór oglądałam telewizję, dając się, w kostiumie.

Nie był też zadowolony, że zniszczyłam wypożyczoną suknię. Wcale mi się nie podobało, że postanowił potrącić mi depozyt z kieszonkowego, ale nie zamierzałam narzekać. Byłam tutaj, poniekąd żywa, i tylko to się liczyło. Tata był trochę zaskoczony, że tak potulnie przyjął karę, i stwierdził, że dorastam.

Przez cały dzień obserwowałam go uważnie, rozpakowując się i układając swoje rzeczy na półkach i w szufladach. Było jasne, że wie, że coś jest nie tak, ale nie potrafił tego sprecyzować.

Praktycznie nie spuszczał ze mnie oka, ciągle wpadał na górę. Przynosił mi kanapki i napoje, aż miałam ochotę wrzeszczeć. Wiele razy przyłapałam go, jak patrzył na mnie z lękiem. Przy kolacji prowadziliśmy wymuszoną rozmowę nad kotletami; dziobałam jedzenie widelcem dobre dwadzieścia minut i wreszcie odeszłam od stołu, wymawiając się zmęczeniem po balu.

No właśnie. Powinnam być zmęczona, ale nie byłam. Nie - była druga w nocy, a ja siedziałam na dachu, udając, że śpię, i rzucając kamyczkami w świat, który powoli kręcił się w chłodnych ciemnościach. Może już nie musiałam sypiać.

Przygarbiona wyskubałam kolejny kawałek smoły z pokrycia dachu i rzuciłam nim w komin.

Uderzył z brzękiem w metalową osłonę i odbił się w mrok. Podsunęłam się w górę po łagodnym spadku dachu i podciągnęłam dzinsy na miejsce.

Nagle ogarnął mnie niepokój, zaczynający się lekkim mrowieniem dłoni i wsączający w głąb ciała, coraz ostrzejszy i bardziej odczuwalny. Czułam się obserwowana. Odwróciłam się i krzyknęłam cicho, kiedy Barnaba spadł na dach z drzewa wznoszącego się nad moją głową.

- Hej! - krzyknęłam, a serce mi waliło, gdy wylądował tuż obok niczym kot. - Może byś mnie ostrzegął?

Podniósł się z kucków i stanął wyprostowany w świetle księżyca, z rękami na biodrach, wyraźnie zdegustowany. Otaczała go jakby lekka, migotliwa poświata.

- Gdybym był czarnym żniwiarzem, już byś nie żyła.

- Ja już nie żyję, pamiętasz? - powiedziałam, rzucając w niego kamykiem, który przeleciał nad jego ramieniem. Barnaba nawet się nie uchylił. - Czego chcesz? - zapytałam z niechęcią.

Zamiast odpowiedzieć, wrzucił chudymi ramionami i spojrzał na wschód, - Chcę wiedzieć, czego nie powiedziałaś Ronowi.

- Słucham? Stał nieruchomy jak skała, z założonymi rękami, i patrzył na mnie.

- Seth powiedział ci coś w samochodzie. To była jedyna chwila, kiedy nie miałem cię w zasięgu wzroku. Chcę wiedzieć, co to było. Od tego może zależeć, czy będziesz się dalej bawić w tę namiastkę życia, czy zostaniesz porwana do czarnego kręgu. - Teraz się ruszył; jego gesty były ostre i gniewne. - Nie zamierzam nawalić drugi raz, a już na pewno nie przez ciebie. Byłaś ważna dla Setha, jeszcze zanim ukradłaś kamień. Dlatego przyszedł po ciebie do kostnicy. Chcę poznać powód.

Spojrzałam na kamień połyskujący w księżycowym blasku, a potem na własne stopy. Dach był nachylony pod tak niewygodnym kątem, że bolały mnie kostki.

- Powiedział, że byłam ważnym nazwiskiem na liście i że odstrzeli moją duszę. Barnaba podszedł i usiadł koło mnie, ale niezbyt blisko.

- Już to zrobił. Nie jesteś już zagrożeniem, bo nie żyłaś. Ale dlaczego po ciebie wrócił?

Nabrałam pewności siebie, widząc, że trochę się rozluźnił. Patrząc na niego, zauważyłam, że jego oczy w świetle księżyca są srebrne.

- A nie wygadasz? - zapytałam. Bardzo chciałam mu zaufać. Musiałam z kimś

porozmawiać, a przecież nie groziło mi, że zadzwoni do moich dawnych znajomych i wypaple, że nie żyję. Choć oczywiście byłaby to bardzo zabawna plotka. Barnaba się zawahał.

- Nie, ale mogę próbować cię przekonać, żebyś sama powiedziała Ronowi. Z tym mogłam sobie poradzić. Odetchnęłam powoli.

- Powiedział, że koniec mojego żalosego życia to dla niego przepustka do wyższego kręgu. Wrócił, żeby udowodnić, że mnie odstrzeli. Czekałam na reakcję, ale nie było żadnej. Wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść i uniosłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Barnaba patrzył na mnie, jakby próbował wykombinować, co to znaczy. Ale nie znalazł odpowiedzi.

- Myślę, że powinnaś przez jakiś czas zatrzymać to dla siebie. To pewnie nic nie znaczy. Zapomnij o tym. Lepiej spróbuj się dopasować.

- Ta - powiedziałam z sarkastycznym śmiechem. - Nowa szkoła zapewnia mnóstwo zajęcia.

- Chodziło mi o dopasowanie się do żywych.

- Ach. - Okej. Mam się dostosować do żywych, a nie do nowej szkoły. Cudownie. Przypomniałam sobie katastrofalną kolację z tatą i przygryzłam wargę. - Ehm, Barnabo, czy ja muszę jeść?

- Jasne. Jeśli chcesz. Ja nie jem. W każdym razie niewiele - dodał niemal tęsknie. - Ale jeśli jesteś taka jak ja, to nigdy nie będziesz głodna. Założyłam włosy za ucho.

- A co ze spaniem? Uśmiechnął się.

- Możesz próbować. Ja nie mogę spać, chyba że jestem śmiertelnie znudzony. Oderwałam kawałek smoły i znów rzuciłam w komin.

- Dlaczego nie muszę jeść? - zapytałam. Barnaba odwrócił się przodem do mnie.

- Ten twój kamień emituje energię, a ty ją wchłaniasz. Pławisz się w niej. Uważaj na ludzi ze zdolnościami parapsychoicznymi. Będą myśleli, że jesteś opętana.

- Uhm - mruknęłam, zastanawiając się, czy może jakiś duchowny udzieli mi użytecznych informacji. Ci dwaj mylili się w sprawie żniwiarzy ciemności i pewnie nie wiedzieli tak dużo, jak im się zdawało.

Westchnęłam. Siedziałam na dachu ze żniwiarzem światła - z moim aniołem stróżem. *Pięknie, Madison*, pomyślałam. Byłam ciekawa, czy moje życie - a raczej ten stan zawieszenia, w którym byłam - może być jeszcze bardziej zakrecony. Głaskałam kamień, który trzymał mnie w tym zawieszeniu, zastanawiając się, co mam teraz począć. Chodzić do szkoły. Odrabiać lekcje. Być z tatą. Starać się zrozumieć, kim jestem i co mam ze sobą zrobić. Właściwie niewiele się zmieniło, nie licząc spania i jedzenia. No dobrze, szukał mnie ktoś

gorszy niż czarny żniwiarz. Ale za to pilnował mnie anioł stróż. A życie toczyło dalej, nawet jeśli nie byłam już jego częścią.

Barnaba zaskoczył mnie, wstając nagle. Pochyliłam się do tyłu, by spojrzeć na jego wysoką postać rysującą się na tle gwiazd.

- Chodźmy - powiedział, wyciągając rękę. - Nie mam dziś nic do roboty i nudzi mi się. Chyba nie jesteś z tych, co piszczą z byle powodu?

Najpierw pomyślałam: *O czym on mówi?* A potem: *Chodźmy? Dokąd?* Ale wydobyłam z siebie tylko żalosne:

- Nie mogę. Dostałam szlaban. Nie mogę postawić nogi za progiem, nie licząc chodzenia do szkoły, dopóki nie spłacę kostiumu. - Ale uśmiechnęłam się, biorąc go za rękę i pozwalając, by pomógł mi wstać. Jeśli Ron mógł sprawić, że mój tata nie pamiętał, że umarłam, to chętnie się zgodzę, żeby Barnaba mnie krył, jeśli wymknę się na parę godzin.

- No cóż, nic nie poradzę na twój szlaban - stwierdził. - Ale mogę obiecać, że nie przejdiesz przez próg.

- He? - wyjąkałam i zeszywniałam, kiedy stanął za mną, jeszcze wyższy z powodu nachylenia dachu. - Hej! - krzyknęłam, kiedy mnie objął. Ale umilkłam, osłupiała, kiedy nagle otoczył nas szary cień. To coś było prawdziwe - pachniało jak puchowa poduszka mojej mamy. Zachłysnęłam się ze zdumienia, kiedy Barnaba objął mnie ciaśniej i moje stopy oderwały się od dachu, jakby grawitacja zadziałała w niewłaściwą stronę.

- Jasna cholera! - krzyknęłam, gdy świat rozpostarł się pod nami, srebrnoczarny w blasku księżyca. - Ty masz skrzydła?

Barnaba roześmiał się, a mój żołądek zjechał w dół, gdy wznieśliśmy się jeszcze wyżej. Może... Może jednak ten rok nie będzie taki zły?